

Długie, pocztowe mosty

11 czerwca 2008

Przemysł trafił do Ostrowca Świętokrzyskiego razem z zaborcami. Najpierw drobny, po upadku Powstania Listopadowego – ciężki. W latach 1837-1839 zbudowano tzw. Hutę Klimkiewiczów, znaną później jako Zakłady Ostrowieckie. Z początkiem wieku XX, wciąż rozbudowywana i unowocześniana – stała się huta nad Kamienną drugą (po Hucie Bankowej) pod względem wielkości tego typu fabryką w Królestwie Polskim.

Swą tradycję „Czerwonego Ostrowca” zawdzięcza miasto rewolucji roku 1905, kiedy to (27 grudnia) władzę w mieście i okolicy przejęła na dwa tygodnie Polska Partia Socjalistyczna, kierowana przez Ignacego Boernera. „Republika Ostrowiecka” przestała istnieć, kiedy carat wysłał przeciwko zbuntowanym robotnikom dwa pułki piechoty, wspomagane przez artylerię.

I wojna w znacznym stopniu zniszczyła hutę; późniejsze prace nad utworzeniem Centralnego Okręgu Przemysłowego tak zakładowi, jak i samemu miastu przyniosły pewną prosperity. W całym kraju znane były produkowane w Ostrowcu wagony towarowe, gdziekolwiek trafiały się też odlewane odśrodkowo rury (unikatowa rodzima technologia) – wszystko na bazie lokalnej metalurgii.

Po I wojnie przyszła kolejna. „Problem żydowski” (w dużej mierze spośród wyznawców Jahwe rekrutowała się ostrowiecka brać robotnicza) hitlerowcy „rozstrzygnęli” w roku 1943 – likwidując getto, wywożąc do Trebinki lub mordując na miejscu ok. 13 tysięcy osób. Miasto było jednak silnym ośrodkiem konspiracji (lewicowej i narodowej niemal na równi). Produkowano tu broń na potrzeby „leśnych” i wydawano kilka tytułów prasy podziemnej. Dzień wcześniej niż stolicę Polski – Ostrowiec zajęła Armia Czerwona.

W latach 70. w ramach rozwoju starej – zbudowano właściwie

nową, większą hutę przy szosie do Ćmielowa, na wschodzie miasta. Jej właścicielem jest teraz hiszpański koncern CELSA.

O przemyśle było już sporo. Gdzie więc kultura?

KIEDYŚ TRZEBA ZACZAĆ...

Rok 1956 był dla Polski czasem nadziei. Ogólnonarodowych i całkiem prywatnych. Dla państwa Muszyńskich był nie tylko chwilą pożegnania stalinizmu, ale nade wszystko datą narodzin syna.

Roman „Tytus” Muszyński nie przyszedł na świat w rodzinie z intelektualnymi tradycjami. Ojciec pracował w pobliskiej hucie, mama w ogromnej szwalni „Wólczanki”. Jak większość obywateli miasta, przydymioną, szarawą rzeczywistość traktowali oboje jako jedyną i najlepszą z możliwych. Ostrowiec należał już z końcem lat 50. XX wieku do miast zamożnych, dysponował, jako jeden z niewielu ośrodków powiatowych, własną komunikacją miejską. W celach rekreacji, mieszkańcom zafundowano np. piękny park nad Kamienną, swoisty odpowiednik dumy Górnego Śląska – parku w Chorzowie.

Jednym to do życia wystarczało, innym nie. Romek chadzał dość pilnie do swego liceum (IV LO im. W. Broniewskiego), ale też – jeszcze pilniej – na dodatkowe zajęcia plastyczne. W szkole prowadziła je pani Słapkowa. Po początkowym entuzjazmie wobec sztuki, szybko wyklarowało się ledwie trzyosobowe grono młodych bywalców. Muszyński do dziś wspomina, iż kółko plastyczne miało jedną, niepodważalną zaletę – dzieciom ostrowieckich robotników fundowało za darmo wszelkie materiały, inną drogą niemal niedostępne.

Podobne koło zainteresowań powołano do życia w Domu Kultury (podległym wtedy Hucie im. M. Nowotki), gdzie działał Andrzej Lange, samorodny artysta z wielką duszą, skupiający wokół siebie ówczesną regionalną cyganerię twórczą. Ze sporej liczby przypadkowych słuchaczy i tam zostały raptem 3-4 osoby. Wśród nich „Tytus”. Lange dbał, by młódź miała gdzie prezentować

swój dorobek – organizował jej wystawy zbiorowe w DK. Ale to liceum wytypowało Muszyńskiego do udziału w plenerze młodzieży szczególnie uzdolnionej. Pieniądze szły z kasy lokalnego Urzędu Miasta, a kierował przedsięwzięciem prawdziwy plastyk, Tadeusz Maj (potem wieloletni dyrektor Liceum Plastycznego w Kielcach). O ile wcześniej Roman ledwie „załapał bakcyła” sztuki, przy Maju zainteresował się wreszcie sprawami czysto warsztatowymi.

Plenery powtarzać zaczęto cyklicznie, co pół roku. Ich miejscem były m.in. zamek w Ujeździe, Lidzbark Welski czy Jarosław. Po plenerach – wystawy. Maj szybko nawiązał kontakt z miejscową znakomitością – dyrektorem Muzeum Regionalnego, Wojciechem Kotasiakiem, pierwszym chyba, kto chciał zobaczyć Ostrowiec kolorowy, nie tylko czerwony. W oparciu o swoją instytucję marzyło mu się prawdziwe centrum sztuki, interdyscyplinarne i tętniące życiem. Nieco osób z kraju zaraził pomysłem – kilkakrotnie koncertował w salach muzeum Konstanty A. Kulka, grali tam i śpiewali Lucjan Wesołowski czy Przemysław Gintrowski. W niedawno odrestaurowanych podziemiach Kotasiak organizował wystawy, także dla „swojej” i Tadeusza Maja gromadki – w ramach Centrum Kultury Młodzieży Artystycznej.

Tymczasem „Tytus” całkiem nieźle poradził sobie z maturą i... wyjechał z Ostrowca na zawsze. Był rok 1975.

W POSZUKIWANIU WŁASNEGO GŁOSU

Roman nie myślał o historii sztuki. Papiery złożył do Wrocławia, gdzie uprzednio startowało najmniej kandydatów. Decyzja okazała się błędem – na podobny pomysł wpadły dziesiątki innych młodych ludzi. Bez uprzednich korepetycji u profesorów artystycznej uczelni, w tej ciżbie był bez szans. Czekać nie miał na co – jednostki wojskowe odliczały już dni do jesienno-poborowego.

Skontaktował się z Majem. Ten, niewiele myśląc, poradził

Muszyńskiemu: „Słuchaj, ja kończyłem na KUL-u historię sztuki. I nie narzekam. Złóż dokumenty, tam powinieneś zdać bez koneksji. Jeśli ci się nie spodoba, zawsze po roku możesz próbować znowu. We Wrocławiu czy gdziekolwiek indziej”.

Egzaminy zdał ze średnią „5”. – „Atmosfera mnie urzekła – powie potem Roman. – Zwłaszcza pracownia konserwacji prof. Kozłowskiego. Zapisałem się do niej, bo »Prof« pozwalał mi w niej robić swoje, gdy tylko pomieszczenie stało puste. Zostałem”.

„Tytus” reaktywował uczelnianą grupę twórczą INOPS (istniała na KUL-u w początkach lat 60. XX w.). Jej członkowie zajmowali się różnymi mediami – od tkaniny artystycznej po fotografię. Nowy INOPS wystawiał w salach macierzystej Alma Mater, ale też w Szczecinie, Gdańsku, Elblągu...

Na stacji zamieszkał wspólnie z Longinem Szparagą (zm. nagle we wrześniu 2006 r. na wylew krwi do mózgu), studentem polonistyki, tatarskim szlachcicem spod Szydłowca. Rok potem obaj znaleźli się w ekipie „Ogrodu-2”, Longin jako teoretyk literatury i happener, Romek głównie jako plastyk, twórca przewrotnych plakatów semantycznych i fotograficzny dokumentalista imprez grupy.

– „Longin to jeden z tych, którzy mnie kształtowali. Pomimo jego wad – co rzadko się zdarza – pamiętam go jako niesamowicie szczerego i dobrodusznego człowieka. Całkiem mu były obce – rywalizacja, zawiść, »sadzenie się«... Solidarnościowym podziemiem nie chwalił się nigdy. I nikomu. To właśnie do samego końca w nim nie zanikło, ale też raptem przestało społecznie cokolwiek znaczyć. Nie mieścił się w kanonach współczesnego świata. Lepiej ludziom, którzy grają wyuczone role. Dobroduszość narażała Longina na śmieszność. Doskonale czuł się za to wśród ludzi prostych. Przez nich był akceptowany i szanowany. »Elity« Lublina go unikały – kpił z ich naskórkowości i swoim życiem pokazywał, że można inaczej” – tyle Roman o zmarłym przyjacielu.

W „Ogrodzie” Muszyński mógł realizować swoje wizje – od rzucanych podczas imprez klubowych na ekran czy ściany slajdów swego ówczesnego malarstwa (krzyżówki abstrakcji z surrealizmem) po akcje w plenerze, gdzie uczył się oszczędności wyrazu i wykorzystywania „rekwizytów”, stworzonych przez naturę. Wiele lat później ilustrował pierwszy z trzech tomików dawno nieistniejącej formacji – „ponieważ noc”.

Poznawał nowych ludzi – wybitną malarkę ze szkoły Strzemińskiego – Ankę Strumińską (zm. w RFN w 1990 r.), malarza – Krzysztofa A. Sprawkę z pierwszej ekipy „Ogrodu” (od 30 lat na Zachodzie) czy kustosz Krystynę Postawkową z Muzeum na Zamku. Pani Krystyna wymarzyła sobie – i zrealizowała – cykliczny plener surrealistów w Kluczkowicach k. Opola Lubelskiego. Impreza otrzymała nazwę „Metafory”, a tematem jej edycji z sierpnia 1977 r. był „Kosmos”. Prócz artystów i krytyków sztuki, w cyklu wykładów wziął też udział Andrzej Abramowicz, astronom z Torunia.

Nawiązane tam kontakty, zwłaszcza po kończącym „Metaforę” „zdarzeniu” „Ogrodu-2” w Sali Wielkiej kluczkowickiego pałacu, które „Tytus” uważa za jedno z najistotniejszych w historii grupy, owocowały przez lata. Idea kontaktu z innymi twórcami, przyświecająca kustosz Postawkowej, kontaktu pojmowanego jako wymiana myśli o sztuce, doświadczeń warsztatowych – ale też prezentacji i zestawiania sprzecznych często światopoglądów – dały Muszyńskiemu poszukiwany długo impuls. Zainteresował się.. Mail Artem.

ZAPOMNIEĆ O ISTNIENIU GRANIC

„Genezy Mail Artu można by szukać w latach znacznie odległych od współczesności, gdyż wielu wybitnych twórców ozdabiało listy, wysyłane do swoich przyjaciół, niekiedy bardzo wartościowymi rysunkami. Za inicjatora Mail Artu uważa się jednak Raya Johnsona z Locus Valley, w stanie Nowy Jork, założyciela New York Correspondence School of Art [było to w

roku 1952 – przyp. L. L. P.]].

Ray Johnson /.../ rozsyłał do swoich przyjaciół-artystów oraz do ludzi przypadkowo wybranych z książki telefonicznej przesyłki, które próbowały pobudzić wyobraźnię adresata i zmusić go do reakcji w postaci odpowiedzi lub przesłania dalej obiektu, otrzymanego pocztą. /.../

Egzystencja Mail Artu opiera się na wolnej wymianie sztuki – bez jury i pieniądza. Nie bez znaczenia jest tu fakt przywiązywania większej wagi do wartości »aktu wymiany«, niż do obiektu lub informacji wymiany. /.../ Wymiana opiera się na wzajemnym zaufaniu i wierze – lecz idealizm ten nie jest pozbawiony pewnych uwarunkowań natury psychologicznej. Kiedy artysta B nie odpisuje na przesyłkę A, kontakt zostaje zerwany.

Mail Art pod względem formalnym nie stawia sobie żadnych ograniczeń i zawiera w sobie: rysunek, malarstwo, książki, audio- i video-art, periodyki, fotografię, collage, poezję konkretną, karty pocztowe itp.” (Roman T. Muszyński, Mail Art – ewolucja świadomości, „Tygodnik Współczesny” nr 16 (23), 21 IV 1991).

Zmarły niedawno Johnson zaczynał od prowokowania reakcji odbiorców, większość twórców ruchu komunikuje jednak jakieś treści. Nie tylko artystyczne – często manifestują po prostu swoje poglądy polityczne, miłość lub pogardę do natury czy orientację seksualną. Bywa, iż potwierdzają jedynie nawiązany kontakt, jak On Kawara, Japończyk, rozsyłający w latach 60. tylko zdawkowe powiadomienia: „Jeszcze żyję”.

Pierwszym Mail Artem „Tytusa” była przesyłka nazwana „Interkosmos” (tak nazywał się wspólny program kosmiczny bloku sowieckiego). Oto, jak opisuje ją twórca: „Moje wkroczenie w świat Mail Art nastąpiło w 1978 r. A bodźcem był czysty przypadek, impuls, wywołany pewnym wydarzeniem, które dzisiaj młodym ludziom pewnie nie mówi nic. Wówczas była to, sztucznie

wywołana i napędzana propagandą komunistyczną, ogólnonarodowa euforia, spowodowana wycieczką Mirosława Hermaszewskiego w kosmos na radzieckim statku kosmicznym, z radzieckimi przyjaciółmi. Wycieczkę tę natomiast fundował Polski Naród, na cześć i chwałę tego, na co by w rzeczywistości złamanego grosza nie dał. Wracałem nad ranem po jednej z całonocnych studenckich imprez, nabuzowany muzyką Pink Floyd, Led Zeppelin, Deep Purple, Rolling Stones i zobaczyłem świat oklejony tandetnymi plakatami, ulotkami, gadżetami, adorującymi jakąś bezwartościową bzdurę, na tle ogólnej beznadziei i bylejakości. W tym momencie postanowiłem ustosunkować się czynnie do atakującego mnie zewsząd, natarczywego, tematu” (z za:

http://www.republika.pl/romaszek/mail_art5.html).

Jako materiały posłużyły: „...cegły – biała i czerwona, gazeta »PRAWDA« w języku oryginalnym, folia aluminiowa, papier toaletowy, czerwona bibuła, wiórki drzewne, naklejki reklamowe INTERKOSMOS, pudełko, farby, papier pakowy, sznurek, taśma klejąca. Dobór takich materiałów i obiektów miał wówczas znaczenie głęboko symboliczne, alegoryczne – (papier toaletowy, gazeta »Prawda«!?) jak też czysto polityczne (sklejone razem cegły – biała i czerwona!?)”.

Tu jeszcze jedna ważka uwaga. W przywoływanym artykule Muszyński wyraźnie opowiada się za potrzebą przewyciężenia samotności i izolacji artystów w społeczeństwie, a także za odrzuceniem sztucznych granic państwowych, jako motorami kierującymi ruchem Mail Artu na przestrzeni kilku dziesięcioleci.

3 lutego 2006 – rozmawiamy z Romkiem o nowym artykule jednego z klasyków Mail Artu, naszego od ponad 20 lat korespondencyjnego przyjaciela, Ryosuke Cohena z dalekiego Nipponu:

– Ryosuke-san powiada, iż Mail Art zamiera m.in. dlatego, iż zniknął Blok Wschodni i dla twórców, którzy kiedyś nie mogli

wyjeżdżać ze swoich krajów, to, co nazywaliśmy Zachodem – przestało być atrakcyjne. Odwrotnie również – dla artystów Zachodu nie ma już niczego emocjonującego w przesyłce nadanej w Mongolii, Bułgarii czy Polsce.

R. T. M.: ...i ma rację. W latach 70. czy 80. Mail Art był oddechem swobody, powodował poczucie braku izolacji. Poczucie złudne – ale miałeś wrażenie, że żyjesz w wolnym kraju, nie w komunie.

Stał się E-mail Art...

R. T. M.: Tak, ludzie zachłysnęli się multimediami, Mail Art począł być traktowany jako przekaz archaiczny. Przestał być nośny ideowo. Ale E-mail Art już umiera. Nie może przebić się poprzez spam i reklamy, przez programy antywirusowe jest zazwyczaj traktowany właśnie jako spam. Technika go stworzyła i niemal natychmiast... zabiła.

Po „Interkosmosie” w ciągu kilkunastu lat „Tytus” wysłał i otrzymał tysiące Mail Artów. Z największych – korespondował ze Shozo Shimamoto, Ryosuke Cohenem, Clausem Grohem i Ruggiero Maggi. Proponował im swoje grafiki i lawowane tuszem rysunki – kaligraficzne, „japońskie” niemal, stąd popularność, jaką zyskał w Kraju Kwitnącej Wiśni jako jedyny z polskich uczestników ruchu.

Trudno ustalić, czy pierwszą wystawę Mail Artu w naszym kraju zorganizował Tomek Sikorski w „Dziekance”, czy Roman w Galerii EL. Obie odbyły się w połowie lat 80. i pokazały niesamowitą różnorodność postaw wobec świata i tworzenia. Muszyński pokazywał Mail Art jeszcze w maju 1988 r. w łódzkiej Galerii „Pod Prąd” u Krzyśka Skiby (w tym samym lokalu, znanym wtedy jako Klub „Balbina”, debiutował w grudniu 1976 r. w barwach „Ogrodu-2”) i lubelskim MDK Vetter w roku 1991. I choć prekursorem Mail Artu był nad Wisłą już Bogdan „Anastazy” Wiśniewski, to „Tytus” i Sikorski uczynili najwięcej dla popularyzacji ruchu wśród polskich odbiorców sztuki

współczesnej. Bogdan bowiem penetrował już inne regiony wrażliwości.

Pierwszą wielką wystawą międzynarodową, w której Muszyński uczestniczył, był „Mail Art 666” w belgijskim Charleroi (kwiecień '81). Ostatnią chyba, nim powrócił do malarstwa i zajął się fotografowaniem – „The International Shadows Project” w Milwaukee (sierpień '90).

ZAWSZE CD.

W latach 1981-1988 Muszyński pracował jako konserwator polichromii ściennych i malarstwa sztalugowego. Ratował Stare Miasta w Lublinie i Rydze, kościółki w Czerniejowie i w Dysie. Później zajął się wyłącznie twórczością własną. Z tych, którzy (prócz przyjaciół) wywarli na niego największy wpływ, wspomina ciepło profesorów KUL-u – Tadeusza Chrzanowskiego i Tadeusza Smolenia, nieżyjącą już kustosz Postawkową czy wielkiego malarza z Galerii EL – Ryszarda Tomczyka.

Od 1995 r. tworzy grafikę komputerową, pracuje też nad cyfrową obróbką fotografii. – „Technika daje bodziec w postaci łatwości zapisywania koncepcji. Mogę szybko zrealizować pomysł (do tego w różnej kolorystyce), porównać wersje i wybrać optymalną. Mam swobodę w działaniu! Nie pakuję też pieniędzy w bardziej materialne projekty, które w ostatecznym rachunku mogą okazać się chybione... Pracuję na programach do 2D. Przy 3D działasz jak inżynier, spontaniczność zastępują wyliczenia. Masz jakąś wizję, a tu trzeba wyzbyć się emocji!”.

Strona internetowa „Tytusa” powstała z początkiem XXI wieku. Tworzył ją i wciąż zmienia sam. Ma zatem to, co chce i tak, jak chce.

Córka Romka – „Duśka” (Agnieszka) jest... grafikiem komputerowym. Mieszka od niedawna w Tarnowie, pracuje dla... wydawnictwa z Kanady. Oglądamy razem już przyjęty projekt jej okładki do książki „A Journey through Islam”. Świetny, każda z 7 wersji cieszy oczy.

Technologia jest jednak w przypadku ojca i córki jedynie narzędziem. Najważniejsze rozgrywa się w sferze emocji i myśli. Naturalną kolejną rzeczą media ulegają zmianom. Urozmaica to straszliwy eklektyzm ponowoczesnej sztuki i powoduje powrót do staranności warsztatowej. A Mail Art? – „Samotność będzie nam dokuczała zawsze – powiada Roman – a potrzeba poznania i konfrontacji jest postawą typowo twórczą. Ruch przetrwa kryzys. I po Johnsonie, Blacku, Maggi, Cohenie czy Preisslerze – wyłoni nowych wielkich”.

Autor: Lech L. Przychodzki

Źródło: [„Obywatel” nr 2 \(34\) 2007](#)